

PROMIEŃ

„I tyle tęcz zapalisz na swem niebie,
Ileś za młodu życia wchłonął w siebie.“

Dwutygodnik dla młodzieży,

wydawany przez towarzystwa uczniów państwowego gimnazjum męskiego
w Ostrowie (Wlkp.)

Adres Redakcji i Administracji:
Ostrów, Zdunowska 26.

Naczelnny redaktor
Jan Zbierski (kl. VII).

Rok I.

I. Czerwoa 1926.

Mr. 15.

Kłopoty redaktora.

Jednym z najniewdzięczniejszych zawodów na ziemi jest niewątpliwie zawód redaktora każdego pisma. Pominąwszy już odpowiedzialność za wydawanie artykułów i kwestje finansowe, które, mówiąc nawiasem, są podstawą istnienia pisma, zyskuje redaktor jako rezultat swej pracy nieustanne narzekania niezadowolonych. Weźmy sobie za przykład nasze pismo „Promień“.

— Ej, redaktorku, dlaczego ten „Promień“ tak poważnie nastrojony? pyta kolega o uśmiechniętej twarzy. Przychodzi drugi kolega z kwaśną miną i woła: — Wiesz, ten „Promień“, to prawdę rzekłszy, za mało powagi w sobie zawiera. Jak tu zadowolić jednego i drugiego. Nie na tem koniec. — Co to za porządek; dałem ci artykuł, dlaczego go nie umieściliś? — Widzisz, mój drogi, otrzymałem go za późno, ale w przyszłym numerze wyjdzie napewno.

Biedny redaktor opęda się od tych niezadowolonych jak może, pragnie wszystkich zadowolnić: tu przyrzeka, tam pociesza; tu radzi nie ustawać w pracy, tam znowu ubolewa, że się tak a tak stało. Ody wyda wreszcie numer, odsapnie w pracy, sądząc, że pozbył się na chwilę ciężaru, a tu jak na złość wpadają do niego koledzy z uwagami i radami. Mimo to myśli sobie redaktor i wierzy, że się interesują pisemkiem, że praca nie poszła na marne, i z nową otuchą zbiera materiał do przyszłego wydania. Praca to dorywcza, wymagająca wiele obserwacji i sprytu, a jednak stosunkowo dość przyjemna dla ludzi lubiących szybkość decyzji i bujne życie. Mimo wspomnianych kłopotów, jest jednak każdy redaktor zadowolony ze swego losu i cieszy się, jeżeli jego praca dozna uznania.

Te kłopoty byłyby znacznie mniejsze, gdyby tak czytelników ogarnęła chęć napisania jakiego aktualnego artykułu, gdyby tak ktoś popróbował siły swego pióra. Smutnie bowiem wygląda twarz redaktora przed wydaniem numeru, jeżeli nie ma materiału i sam musi pracować w ostatniej chwili. Zabierzmy się do pracy, a przedewszystkiem w nie-dalekich wakacjach zbierajmy odniesione wrażenia, obserwujmy okiem psychologa życie ludzkie, ażeby móc się podzielić z innymi naszymi uwagami i spostrzeżeniami. Dla nas, młodzieży, jest każdy dzień uosobieniem czegoś nowego, patrzymy dokładnie i uczymy się

Szerzmy szczęście...



Szerzmy szczęście wkoło nas,
Szerzmy piękno blaskiem czyste,
Wartość wznieśmy życia kras,
Wlejmy wiarę tam, gdzie mgliste
Tlą zwątpienia...

* * *

Szczęście własne drugim dajmy,
A ofiary kropla każda
Nam się wróci... Wciąż wolajmy,
Że nadziei błyszczą gwiazda
Z nich sklepienia.

* * *

A w te serca biedne, drżące,
Co to chore lub zgorzkniały,
Nieśmy pociech skry gojące,
By się znowu dziś rozśmiały
Szczęścia śmiechem...

* * *

Umiłujmy leczyć bóle,
Leczyć serca gorycz, żale,
Snuć miłości aureole
Ku wieczystej dobra chwale
Co brzmi echem...

A. Chaton d'Emi



Co było 18 maja?

● Pokój w Polanowie 1635. — Bunt Chmielnickiego 1648. — Sejm elekcyjny na Woli 1697.

Co było 1 sierpnia?

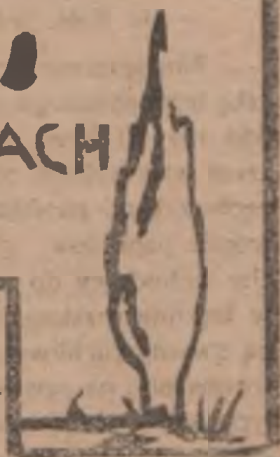
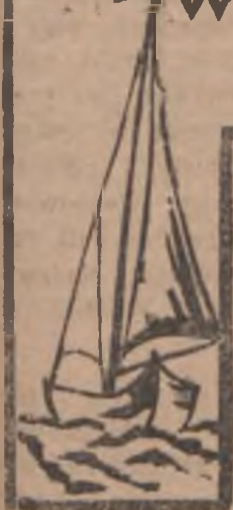
● Wojska austr. opuszczają Warszawę 1869.
— Przyłączenie Podlasia do Korony 1236.



STO DNI W TRZECH CZĘŚCIACH ŚWIATA

TADEUSZ RADLIŃSKI.

(Przedruk za pozwoleniem Autora i zgodą Redakcji „ISKIER“.)



2)

II. W Smyrnie.

Chociaż okręt nasz stoi bezpośrednio przy samym bulwarze, tak że po grubej linie przeciągniętej od dziobu do brzegu przejśćby można łatwo (oczywiście gdyby się było szcurem, to też w obronie od tych nieproszonych gości nanizane są blachy, lub poprostu kawałki miotły, nastroszone ku wybrzeżu), jednak, chcąc się dostać na bulwar, musimy objeżdżać około kwadransu drogi na drugą stronę portu i przejść przez surową rewizję pasportową i celną.

Dyskretnie wysuwa się z prawego boku nasza łódź, dążąc po jasnych, roześmianych w blasku słonecznym falach do ogrodzonej żelazną kratą przystani.

Wysiadamy po jednej osobie, surowo kontrolowani przez wysmukłego tureckiego policjanta w popielatej harankowej wysokiej czapie (30" C gorąca!), który zabiera nam pasporty. Tak wstępujemy na ląd azjatycki.

Azja.. na razie jednak nie znać jej jeszcze. Oblegają nas wóźnicy eleganckich powozów na gumowych kołach i szoferzy, namiętnie proponując zwiedzanie miasta powozem lub samochodem.

Korzystałam z chwili, gdy nad całem naszym 17-osobowym zgromadzeniem zapanowuje prawdziwie polska przysłowiowa zgodność co do wyboru wehikulu i wymykam się na własnych „samochodach“ do środka miasta.

Tu dopiero jest Azja! Niech się schowa Skutari! Stoję oto na niewielkim placyku przed meczetem, o wysmukłych koronkowo rzeźbionych minaretach. Czają się w cieniu platana przed gorącym słońcem rozstawione małe stoliki obok tureckiej kawiarni. Naturalnie, kawa!

— Ohe! Kafedzi! — przemawiam po turecku jedyne znane mi tureckie słowo (ale zato jakim pysznym akcentem!)

Przychodzi powoli Kafedzi.

— Bir Kafè (jedna kawa) — ordynując.

Nie śpiesząc się, wraca po chwili ten syn Wschodu, niosąc filiżaneczkę tego pysznego aromatycznego płynu, barwy ciemno-łusobronzowej (kto nie pił kawy w Turcji, ten nie zna takiej barwy!), okolonej jaśniejszym wianuszkiem przy brzegach — to cząsteczki mialkiego fusu, wraz z pęcherzykami powietrza. O rozkoszy! Siedzisz, pijąc kawę turecką, paląc wonne papierosy — obok ciebie studnia, przy której ohmywiają swe grzechy wchodzący do meczetu wyznawcy Allaha, za tobą meczet, wznoszący w błękitne rozslonecznione niebiosa swe koronkowe minarety, a przed tobą gwarny ruchliwy tłum Wschodu, zgiełkliwe zachwalający swe towary, roznoszone na zawieszonych na ramionach kramikach, rozwożone na małych wózeczkach, lub stojące pod cieniem drzew na straganach. Nadzwyczajne jakieś słodczyce, placuszki, obwarzanecki, osmażane w miodzie pyszności, rachatlukumy, sorbety...

Ktoś cię trąca w stopę: to ciemny, o rozwichrzonej czuprynie i błyszczących oczach chłopak gwałtownie pragnie oczyścić twe białe pantofle i wziąć za to 5 piastrow; gestykuluje żwawo i dobitnie i nie daje się zniechęcić twą odmową. Ulegasz mu z wolna, tak jak ulegasz czarowi tego bajecznego wschodniego życia, które cię otacza...

Przy sześciokątnej studni, z której wciąż leje się szczęsioma kranami czysta chłodna woda, sprowadzana gdzieś z dalekich gór, otaczających miasto akweduktami, przykłęka zmęczony poganiacz wielbłądów przed wejściem do meczetu. Zdjął na chwilę z głowy ciężki turban, otaczający też białym zawojem, i ochładza się czystą chłodną strugą wody — owem błogosławieństwem Allaha w gorącym znojmym klimacie.

Oplókał ręce, zwilżył głowę i kark, potem obmył twarz całą i wypłókał usta; ściągnawszy z nóg ciężkie skórzane zwierzchnie ciżmy, zwilżył dłonią paru kroplami wody obute w skórznie stopy i, spełniwszy w ten sposób przepisane ablucje, oczyszczony wchodzi do przybytku Allaha-Kismet.

I tak płyną obok ciebie powolne, nieliczone godziny Wschodu. Pijesz jedną kawę, potem drugą i trzecią, jesz od przekupnia jakieś słodczyce, palisz wonny tytoń turecki, kupujesz na straganie na nic ci niepotrzebne przedmioty, przyjmujesz od starego Turka „ofiarowany“ za 20 piastrow amulet z niebieskich paciorków, dajesz sobie znowu i raz jeszcze oczyścić twe czyste pantofle i z wolna wchłania cię wszechpotężny czar tego życia, a zwykle twe troski zdają ci się nic nieznaczącymi i małoważnymi co znaczą korekty i wydawnictwa, które cię tyle namęczyły w Warszawie!...

Lecz cienie od drzewa z wolna wydłużać się zaczynają: fugit irreparabile tempus! Wstajesz i jak oczarowany dajesz się pochłoniąć żywemu

potokowi różnobarwnego tłumy, przepływającego z sąsiedniego bazaru ku dolnej części miasta.

Kobiet w tłumie spotyka się mało. Jedne z nich mają zasłonięte czarnym woalem twarze, inne, bardziej postępowe — nie. Wszystkie jednak ubrane ciemno (czarno, fioletowo lub szaro), o zasłoniętych pelerynką ramionach.

Brzydkie są niewieście stroje tureckie. To też wzrok z radością wita kilka białych, bardziej „po mahometańsku” ubranych postaci kobiecych w białych bufiastych ściągniętych w kostce szarawarach. To Arabki, zdaleka tu widocznie przybyłe. Zdała pod studnią widać dwie beduinki z dzieckiem „na” boku, również widocznie nietutejsze.

Wraz z tłumem wypływam na jakąś ciasną, zapchaną uliczkę. Całe szeregi dwukołowych arb, wysoko naładowanych workami z figami, rodzynkami, mąką, to znowu z piętrzącymi się belami bawełny, ciężko zgrzytają po kamiennych płytach, włączając swe wielkie, żelazem kute koła w nierówności ulicy.

Mocne, zgrabne, niewielkiego wzrostu anatolijskie koniki, poganiane przez opalone muskularne postacie w różnobarwnych zawojach, rażno hrzczą dzwoneczkami, migając w zachodzącym słońcu błękitem paciorków, suto upiększających chomąta, i szkarlatnemi pomponami z bawełny. Śmigają baty, skrzypią osie i zaprzęgi, a przekleństwa woźniców krzyżują się w przesyconem słodkim zapachem fig i rodzynek powietrzu.

Zbliżka i zdaleka suną te naładowane arhy do olbrzymich składów i sortowni, gdzie warczą maszyny segregujące lepki i słodko pachnący aż do zemdlenia towar. Tam, w półcieniu przestronnych składów warczą chybkie sity, rozrzucające na różne strony rozmaite gatunki tych smakowitych owoców, rozgniatanych nogami, pracujących tu kobiet i tragarzy, ślizgających się w słodkawej cieczy, sączącej się z owoców.

Trochę podsuszone figi, mające już charakterystyczny brunatnawy kolor, leżą całymi górami w szopie, tam sortują je murzynki, usypując całe pagórki fig różnych kalibrów, grzęzną nogami w słodkawym towarze. Lepsze gatunki są układane w specjalne pudełka. Robią to już nie murzynki, lecz miejscowe kobiety, siedząc wschodniem zwyczajem w kucki przy ławkach, w których wywiercone są otwory, a w nich kubelki z wodą (lecz nie jest to ta czysta woda ze studni pod meczetem, lecz lepki i gęsty płyn o mdlącym słodkawym zapachu!), w której maczają podsuszone figi, nadając każdej szybkim ruchem ślizgających się palców odpowiednio sprasowany kształt. Potem kładą je na papierze szeregami, nadając im należytą formę, i wraz z papierowym futerałem wkładają je nakoniec do pudełek.

Nie wiem, czy uwierzy mi czytelnik, że, wychodząc nakoniec z szopy na świeże powietrze, dawałem sobie słowo, że nigdy figi do ust już nie wezmę!

W innej znów szopie sortują góry całe rodzynek

Podsuszony na końskim nawozie w winnicach owoc jest przesiewany przez różnych kalibrów mechaniczne trzęsione siła i usypywany potem do skrzynek, gdzie je ugniatają różnokolorowe kobiety sweni różnokolorowymi nogami. W tych skrzynkach smaczne rodzynki odbywają potem podróż do rozmaitych krajów na czekających w porcie parowcach.

— Nie tknę się tego paskudztwa nigdy w życiu! — szepcze każdy ze zwiedzających, opuszczając z westchnieniem ulgi te smakowite sklady.

Wieczór. Słońce zanurza swą złotą głowę w błękitne fale zatoki. Cichnie zwolna zgiełk wielkiego, spracowanego miasta. Karawana wielbłądów ledwie zdążyła rozłożyć się na noc na ulicy, nie wyładując narazie towaru, bo trzeba przedtem odmówić wieczorne modlitwy. Wielkie, chude wielbłądy zginają posłusznie swoje długie, pełne dziwnych zgrubień i odcisków nogi, układając się spokojnie na ulicy i przeżywając siano wewnątrz swych prześlicznych, pełnych dobrotliwości pysków. Młode wielbłądziaki, o naiwnie głupich twarzyczkach, kręcą się niedołężnie koło swych objuczonych matek, pragnąc napróżno dostać się do wymienia.

W szybko zapadającym mroku wieczornem śpieszymy do przystani, aby przed „policyjną godziną“ zdążyć na statek. Nasz policjant w wysokiej barankowej ciemności czapie mozoli się nad wymawianiem dziwnych naszych nazwisk, skreślonych w pasportach. Pomagam mu, wskazując na prześliczną fotografię, ozdabiającą mój pasport, i za chwilę barka unosi nas ku „Karyntji“ na „pranzo“ (obiad), podawane o godzinie 7,30 wieczorem.

Po obiedzie wychodzę na pokład. Wąski sierp księżycy migoce w cichej, tajemniczej wodzie, łamiąc się na fragmenty, tańczące na fali.

Gdzieś z cienia wysuwa się jedna, potem druga rozłożysta barka, naladowana białymi skrzynkami, i zwolna, cicho, bezszelestnie przesuwa się do wyniosłych, czarnych boków statku. To rodzynki. Zaszczękały, zalomotwały krótkie, pracowite łoki. Skrzypiące żórawie raz w raz opuszczają to na jedną barkę, to na drugą zawieszoną na haku olbrzymim linę, w zdradziecką pętlę złożoną. Pętla ta ochwytyuje dobrze nam już znane skrzynki z rodzynekami (och, te rodzynki!) po 20 sztuk razem, zaciska się w powietrzu, niosąc je zgrabnym, półkolistym ruchem nad pokładem tam gdzie ziele przepaść, dochodząca aż do dna komór ładowniczych na naszym statku. Chwilę ważą się nieszczęśliwe skrzynki nad przepaścią, a maszyna cichnie wtedy na moment i przyczajone łoki nieruchomieją. Parę wahań naprężonej liny i kierownik ładowania, bosonogi drab w śmieszny pstrym zawoju na głowie, woła nosowym głosem: „guarda sottoddu!“ (guarda sotto — znaczy po włosku „uważaj na dole“!) i ręką daje znak łokom; znów krótki zajadły szczęk i lomot, partja skrzynek zjeżdża zwolna, kolyśząc się, nadół, aby wyjść na światło dzienne dopiero w Trieście.

Dowiaduję się, że przez noc całą mają ladować rodziny i że te 2 barki, tp zaledwie cząstka ładunku...

I rzeczywiście, późno w noc, krótki szcęk i lomot, a potem „guarda sottoodu..“ walczyli w mojej skolatanej głowie z wielbładami, meczetem, figami, rodzinami, anatolijskim zaprzęgiem.. „Lepsza od najlepszej“ kajuta na pełnem morzu okazała się „gorszą od najgorszej“ w porcie! Ach, to okno, wychodzące na pokład!... Guarda sottoou..

Nazajutrz kapitan zapowiedział odjazd na 12,30, więc rano zdążymy jeszcze zwiedzić bazyry i zameczek na wzgórzu Pagos, wznoszący się malowniczo nad miastem.

Wspinamy się więc stromemi uliczkami pod górę, uciekając w cień domów przed niewysokiem jeszcze, choć już gorącym słońcem. Chłód nocy czai się jeszcze w wąskich, ciasnych zaułkach; cisza dokoła. Wystające okna, zakratowane ukośnie cienkimi drewnienkami, wskazują, że tu są właśnie niedostępne oczom obcych, a szczególnie gjaurów, pokoje kobiece.

Zdala za miastem widać stare akwedukty: podobno teraz jeszcze sprowadzają one wodę z gór. Ot i niedaleko już mury zameczku na szczycie pagórka. Przystępuje do nas policja, i po części na migi, po części francuskimi wyrazami, każe oddać aparaty fotograficzne; jeden z policjantów towarzyszy nam nieznacznie dalej, żeby przekonać się, czy nikt nie fotografuje ruin zameczku: mają one widocznie znaczenie strategiczne.

Cudny, olbrzymi widok wynagradza nam dość długie i mozolne wspinanie się pod górę.

Ujęta w zielone ramy górzystych wybrzeży, lśni z oddali pod nami lazurowa zatoka. Z jednej strony kipi i wre życiem przepelniony okrętami port handlowy, z drugiej, w błękitnem oddaleniu wśród bogatej zieloności spoczywa na łonie cichych wód uroczę Kordeljo — miasteczko will i pałacików. Sama Smyrna, u stóp naszych rozpostarta, pstrzy się czerwienią dachów, szkarłatniejących wśród zielonych plam drzew, a rozłożyste korony palm nadają lekkości i wdzięku krajobrazowi. Przyrównać by go można było do barwnego wschodniego kobierca o dwóch dominujących tonach: czerwonym i zielonym.

Niestety — cała najpiękniejsza niegdyś i najbogatsza grecka północna część miasta męczy oko ruiną i zgliszczami, zmatowanemi trochę przez odległość. Bogaty, wschodni kobierzec uległ zniszczeniu i najpiękniejsza jego część została spalona. Żelazne prawo walki. Vae victis! Lecz słońce wznosi się szybko wgórę. Pora wracać. Śpieszymy, jeszcze kupić w hazardze parę fatalaszek na pamiątkę pobytu.

Ruch, gwar, hałas panuje tu nie do opisania. Kupcy zapraszają do środka dla obejrzenia towaru, a niesłychanie ruchliwi i nie dający się byle czem zhyć faktorzy (przeważnie żydzi) kompletnie zmuszają do kupna.

Wszyscy też z naszej gromadki ulegają jeden po drugim „konieczności“ (tak widać już chciał Allah!) i kupują wzorzyste, haftowane suknie, nie wiem dlaczego z japońska „kimonami“ tu zwane, woreczki z „turgą“ (suah sultański), fezy tureckie, ustniki do papierosów — no i same papierozy, bo to wszak wyborowe tureckie tytonie. — Na tych pożytecznych i zgoła niezbędnych zajęciach zastaje nas niespodzianie potężny ryk naszej syreny okrętowej („Karyntja“ stoi tuż przy bulwarze, tylko dojazd do niej daleki)! Za pół godziny ruszamy. Gwaltu! Unosząc zakupione fatalaszki, pędem lecimy do portu. Złowieszczy drugi gwizdek! Aby tylko zdążyć przed trzecim. O! tam na kapitańskim mostku stoi nasz komandor i złowrogo grozi nam palcem. Trzeci gwizdek.

Ledwieśmy zdyszani wpadli na pokład, załomotały, zaszczękały tłoki i kotowica zwolna wynurzyła się z toni. — Żegnaj, Smyrno, ty kwiecie Wschodu!

(Ciąg dalszy nastąpi)



Wielbij, duszo moja, Pana!



Ktoż nie cieszy się z nastania wiosny? Mimo że wszystkie pory roku obfitują w przyjemności i mają swój szczególny urok, jednak pierwszeństwo przyznajemy wiosnie, tej złotej królowej.

Stopniały śniegi Ziemia po zimowym spoczynku przybrała krasną szatę kwiecistą. Słychać tysiące głosów. Wszędzie pełno gwaru rozszczębiconego ptactwa i radsego brzęczenia owadów. Rozorana ziemia bucha wonią kadzielniczną. Cała przyroda gra, zamieniając się w dźwięczną lirę, na strunach której rozweselone wazelkie stworzenie wygrywa hymn uwielbienia Tego, który to wszystko stworzył. I płynie hymn pod błękitny strop nieba: „Święty, Święty, Święty Pan zastępów.“

Przyroda to olbrzymia świątynia. Niebotyczne góry to filary dźwigające niebieską kopułę. Słońce, księżyc i gwiazdy to płonące gromnice na ołtarzach. Huczące pioruny to dzwony tej świątyni, a buragany i wichry to tony organów, które wtórują śpiewowi fal morskich i szumowi szemrzących potoków. Kapłanem to człowiek. On zbiera te wszystkie rozpierzeble głosy uwielbienia i gromadzi je w swaj duszy, czyniąc z nich cudną harmonję hymnu uwielbienia. On jako korona stworzenia oddaje cześć Stwórcy.

Szczęśliwy, kto wsłuchuje się w mowę natury. Ona rozwesela duszę. Wyraz jej ciehy i łagodny wazędzie się rozlega. Klucz do tej mowy posiada ten, kto wie co to jest Bóg

W najpiękniejszym miesiącu jakim jest maj, cały świat przez Marię uwielbia Boga.

I minie cudna wiosna, powiędną kwiaty, zamilkną w kościołach pieśni na cześć Marji śpiewane, ale chwala od przyrodzenia wiecznie kantykiem „Wielbij, duszo moja, Pana!“ czcić będzie Stwórcę wszechcieczy.

B O R Y N A.



Pod flagą międzynarodową.

(Wrażenia z Targów Poznańskich.)



(Dokończenie).

Oglądaliśmy różne „marki“ jak: „Steyr“, „Protos“, „Cadillac“, „Pierce Arrow“, czeską „Tatrę“, „Itala“, sławnego „Forda“ z „Fordsonem“, wszystkie się nam podobały, bo wszystko co świeże, nowe, to ładne, ale żaden z widocznych tam samochodów nie mógł pod żadnym względem dorównać wspaniałemu fabrykatowi Forda, pod nazwą „Lincoln“. Na wielkich dywanach, (Ford może sobie pozwolić i na taki luksus, zapewne rodowity perski!) stały dwa wspaniałe wozy: limuzyna i odkryte torpeda. Obok tych ustawiono podwozie wozu, z rozebranyim po części motorem. Pod podwoziem leżało lustro, aby można widzieć wszystko od spodu. Ponieważ taki samochód można mieć tylko na obrazku (nie psuje się i nie trzeba reparacji, więc wygodniejszy), więc wzięłem katalog ilustrowany. Zresztą, miałem już ich cały stos, bo brałem ile się dało, aby sobie wszystko do-

kładnie przejrzeć, a także, aby mieć czem zabawić kolegów, podczas zajmującej lekcji matematyki, greki lub logiki.

Oglądając nowe systemy Forda, jegomość siedzący przy nich, z wyglądu cudzoziemiec, objaśnił nas, że dwuosobowy „Ford” z odkrywaniem z tyłu siedzeniem trzecim, najlepiej nadaje się dla polskich adwokatów, gdyż z przodu mogą wygodnie umieścić siebie, a z tyłu, pliki weksli, lub innych dokumentów licytacyjnych. Przyznaliśmy mu zupełną rację, ale ponieważ nienawidzę adwokatów, więc już dla tego odeszliśmy, aby udać się na piętro wieży, załadowane eksponatami elektrotechnicznymi, radiotechnicznymi, wyrobami platerowanymi i t. p. Zauważyłem także kilka firm niemieckich. Czas jednak ucieka, trzeba się spieszyć. Rzucam okiem jeszcze raz na auta i wychodzimy z Wieży, aby udać się do innych pawilonów. Przechodzimy prędko przez dwa załadowane wyrobami przemysłu drzewnego. To nas nie interesuje. Idziemy więc do imponującego budynku, na którym napis: „Pałac targowy”. Oglądamy najpierw parter, pełen konfekcji i garderoby, oraz wyrobów sukienicznych. Idziemy następnie na galerję pierwszego piętra. Tutaj jest o wiele ładniej, i jest wszystko czego dusza zapagnie i nie zapagnie. Są przedewszystkiem greckie rodzynki, śliwki i winka, a także „Hellenike stofike” cz. pudełka z prasowanymi winogronami; wystawia to jakieś towarzystwo z Aten i Pireusu. Są dalej cudowne proszki do prania i wywabiania plam, wystawiane przez jakąś firmę wiedeńską, a także spinki, guziki, szpilki, również wiedeńskie. Są także rakietki, piłki tenisowe, piłki nożne i różne artykuły sportowe prosto z Londynu. Za darmo można słyszeć krzyczące mowy radjofoniczne, oraz koncerty na polskich pianinach i fortepianach. Są także polskie płyty fotograficzne i różne chemikalja. Cała jedna strona galerji jest załadowana kosmetykami. Zapach, że aż dusi! I kto by nie chciał, to mimowoli musi stać, czystym widząc te tysiące mydeł, musi być upudrowanym i wysmarowanym, widząc tyle różnych kremów do pielęgnowania cery. A komu źle funkcjonuje żołądek, napewno ozdrowieje, skoro ujrzy „oleum ricini”.

Dzwonek oznajmia, że należy się wynosić, bo już godzina szósta, godzina zamknięcia Targów (w teorii tylko, bo jeszcze o 7-ej jest pełno ludzi). Zdaje mi się, że i Czytelnikom już robi się mdło od tych zapachów perfum i mydeł i kremów, (Czytelniczkom może nie!) więc opuszczamy pałac targowy, aby znów znaleźć się na świeżem powietrzu. Słychać trąbiące maszyny parowe, świeszczące syreny, bijące dzwony, ale po chwili wszystko milknie i wszelka praca ustaje, bo już po szóstej.

Za kilkanaście minut więc, unosi nas „Berliet” na miasto, aby pokrzepić strudzone żołądki. Na placu Targów jest wspaniały gmach restauracyjny, ale są także wspaniałe ceny, więc udaliśmy się do miasta.

Po upływie półtorej godziny, zapaliwszy ogniste ślepie reflektorów, unosił nas „Berliet” ku domowi, z szybkością stu kilometrów na godzinę.

W Anglii a w Polsce

W Anglii Chłopiec biurowy: panie dyrektorze, proszę o zwolnienie mnie z dzisiejszych obowiązków, chciałbym iść z moją ciocią na dzisiejszy zawody w piłkę nożną. Interesuje mnie gra tego sławnego środkowego napastnika w drużynie „Arsenal”. Dyrektor: dobrze żeś mi to przypomniał kochany chłopcze; ja również chcę być na tych zawodach. Owszem, bardzo chętnie cię zwalniam; możesz iść, masz odemnie na bilet. Ciesz się to bardzo, że zajmujesz się tak zdrowymi rozrywkami. Jest to dowodem twójego zdrowego umysłu. Od pierwszego podniosę ci pensję.

W Polsce. Chłopiec biurowy: panie dyrektorze, proszę o łaskawe zwolnienie mnie chwilowo z obowiązków, chciałbym iść dzisiaj na zawody sportowe. Dyrektor: Co? zwolnić cię na zawody sportowe?! Czyś ty chłopcze zmysły postradał? Ja jak długo żyję jeszcze na te głupstwa grosza nie wydałem! Siedź w biurze smar-kaczu! wybij to sobie z głowy i nigdy nie waź się o tem przypomnie wspominać! W każdym razie prośba twoja jest dowodem twojej lekkomyślności i od pierwszego tracisz u mnie miejsce. Ja muszę mieć personel myślący poważnie!

KRONIKA.

Wiadomości miejscowe.

W dniu 1 maja, po nabożeństwie majowym ks. Sitko, kapelan wojskowy referował w domu katolickim o „o Reinkarnacji dusz w świetle nauki Kościoła”. Referat zbijał twierdzenie Wincentego Lutosławskiego o reinkarnacji. Zbyt jest obszerny temat, by choć w ogólnych zarysach na łamach kroniki go omówić.

Dnia 2 maja w kaplicy gimnazjalnej odbyła się uroczystość przyjęcia nowych sodalisów. Na uroczystość przybyli niektórzy rodzice uczniów-sodalisów. ES.

3 Maj w gimnazjum. Po nabożeństwie odprawionem przez ks. pref. L. Ziemińskiego odbyła się uroczystość obchodu święta narodowego. Chór odśpiewał „Witaj dniu 3 maja”. Następnie pan prof. Stanisław Zbierski przemówił do nas. Na wstępie wskazał czym jest Konstytucja majowa i jakie jej znaczenie w dziejach. Po wstępie odczytał katechizm narodowy dla młodzieży, odezwę do młodzieży napisaną przez twórców wiekopomnego dzieła. Wkońcu odczytał modlitwę ułożoną przez tychże mężów.

W zakończeniu przemówienia swego, zaznaczył ile pożytecznych rad i wskazówek w tym katechizmie młodzież dziś znaleźć może. Mówił, że każdy powinien wskazania te nosić w sercu.

Kolega Talarczyk z kl. VI. pięknie zadeklamował „Głos Małachowskiego“ Or-Ota. Całą uroczystość w poważnym a radosnym nastroju utrzymywała orkiestra „Kółka Muzycznego“ pod batutą nowego dyrygenta kol. Pilińskiego.

Dział rozrywek umysłowych

pod redakcją Sława.

S z a r a d a (ulożył OSET),

Maj zakwitł pełnią różnego kwiecia;
 Pędzą motyle; ptaszki śpiewają,
 Panować winna wszak druga-trzecia,
 A ludzie - wilki jej nie uznają.
 Gdzie spojrzysz pierwsza-druga i trzecia,
 I ofiar stopy, i praca krecia.
 Krew czwarta-piąta dziś się polala,
 Walka wśród swoich groźnie szalala.
 Nam pozostaje wielka przestroga,
 Całość szarady, to plama sroga,
 To grzech narodu, strzeżmy się wady,
 Niech wśród młodzieży nie będzie zwady.

L o g o g r y f (ulożył SŁAW).

Z podanych sylab ułożyć 7 wyrazów, których początkowe litery (z góry na dół) i końcowe (z dołu do góry) utworzą dwie postaci z „Pana Tadeusza“:

al, cy, eks, fir, gen, gław, ja, jo, ka, latr, lo, ny, of, py, tarz, try, try, zar, ze.

Z n a c z e n i e w y r a z ó w :

- 1) Drobną szlachta w Anglii;
- 2) zegar-budzik;
- 3) nazwa pałaców królów maurytańskich (wspak);
- 4) bóstwo słowiańskie o 3-ch głowach (wspak);
- 5) oddawanie czci wężom, jako bóstwom (wspak);
- 6) syn Eola;
- 7) tępo ścięte wieże przy wejściu do świątyń egipskich (wspak).

Kupon Działu Zadań

„Promień“ nr. 15.

Wyciąć i dołączyć do rozwiązania.

Za przysłanie dobrych rozwiązań Redakcja przewiduje (drogą losowania) dwie nagrody.